

NIEMCY PRZERAŻONE WŁASNĄ POTĘGĄ

Filip Memches

Kwestia dominacji Niemiec w Unii Europejskiej jest w Polsce swoistym tematem tabu, nad którym unosi się aura poprawności politycznej.

Kiedy ktoś podnosi problem „niemieckiej Europy”, narażony jest na szydercze śmiechy euroentuzjastów. Udają oni, że nie ma o czym mówić, i demagogicznie argumentują, że o hegemonii Berlina mogą roić tylko zwolennicy spiskowych teorii.

Z kolei eurosceptycy straszący „niemiecką Europą” z góry zakładają, że stoi za nią projekt będący ponurym dziedzictwem bismarckowskich Prus i III Rzeszy. W kręgach konserwatywnych modne jest również postrzeganie Berlina jako sodomy i gomory, która na całym Starym Kontynencie rozpowszechnia zdobycze rewolucji obyczajowej lat 60. ubiegłego wieku (przywileje dla mniejszości seksualnych itp.).

Na uwagę zatem zasługuje wydanie specjalne „Krytyki Politycznej” (nr 34), w którym mamy do czynienia z naruszeniem wspomnianego na wstępie tabu. Redakcja „KP” nie chowa głowy w piasek i podejmuje kwestię „niemieckiej Europy”, tyle że z pozycji euroentuzjastycznych.

I tak znany niemiecki socjolog Ulrich Beck przedstawia koncepcję dwóch nurtów w polityce Berlina wobec UE. Uosobieniem pierwszego jest Willy Brandt, socjaldemokratyczny kanclerz RFN w latach 1969–1974. Uprawiał on – jak twierdzi autor – „kosmopolityczną Realpolitik”, był przeświadczony, że to Niemcy mają służyć Europie, a nie Europa Niemcom. Drugi nurt określa Beck mianem „modelu Merkiavelli”. Zarzuca tym samym Angeli Merkel makiaweliczne podejście do integracji europejskiej, czyli podporządkowanie tego, co się dzieje w Unii, interesom Berlina. „Czy to nie oburzające, że Merkiavelli na europejskim poziomie odmawia dotkniętym kryzysem krajom tego, co koalicja CDU-SPD sama zrobiła – to znaczy zwalczania kryzysu przez poszerzenie publicznych inwestycji?” – grzmi socjolog. Opowiada się więc on „przeciwko niemieckiej Europie, ale za europejską odpowiedzialnością Niemiec”.

Z kolei słynny niemiecki myśliciel Jürgen Habermas, niegdyś czołowy ideolog nowej lewicy, zastanawia się nad współczesnym znaczeniem solidarności europejskiej. I oświadcza: „Niemcy mają w polityce solidarności nie tylko interes; powiedziałbym wręcz, że mają związane z nią normatywne zobowiązanie”. Habermas zwraca uwagę na rozmaite konsekwencje globalizacji, w tym „niszczyielską presję współzależności ekonomicznych, które przenikają dziś bezgłośnie narodowe granice”, wywołując napięcia między państwami członkowskimi europejskiej unii walutowej. Receptą jest solidarność jako „wysiłek współpracy ze wspólnej perspektywy politycznej na rzecz promocji wzrostu i konkurencyjności strefy euro jako całości”.

Beck i Habermas raczą nas zatem poczciwymi opowieściami, które jednak nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości. **Berlin – przyznajmy uczciwie, nie tylko pod rządami Merkel – kieruje się egoizmem narodowym i jest czymś zrozumiałym, że używa UE dla realizacji swoich partykularnych interesów.**

Ale sprawa jest bardziej skomplikowana, co wyjaśnia politolog Marek A. Cichocki. Jego zdaniem Niemcy są w tej chwili jedynym państwem europejskim, który posiada potencjał polityczny wystarczający do skonstruowania na nowo porządku na Starym Kontynencie. Tyle że – dowodzi Cichocki – Berlin jest przerażony własną potęgą: przeszłość historyczna świadczy o tym, że kiedy Niemcy próbowały konstruować na nowo porządek w Europie, źle się to kończyło i dla nich, i dla niej. Tak więc – wnioskuje politolog – w gruncie rzeczy Berlinowi może zależeć na utrzymaniu obecnego stanu rzeczy, dążąc jednocześnie do nadania instytucjonalnych ram procesom, które już się i tak toczą, a więc dzieleniu „eurolandu” na bogatą Północ i biedne Południe.

I chyba diagnoza Cichockiego jest brutalnie prawdziwa. Warto do niej dorzucić refleksję nad kłopotami tożsamościowymi UE. To chyba one mają istotny wpływ na to, że dziś właściwie nie wiadomo, czym ma być Unia.

Jedną z przyczyn, dla których projekt „niemieckiej Europy” skazany jest na klęskę, stanowi faktyczne (bo oczywiście nie deklaratywne) odrzucenie przez berliński establishment chrześcijaństwa jako aksjologicznej podstawy wspólnoty narodów europejskich. Niemiecka chadecja przestała być strażnikiem karolińskiego dziedzictwa pielęgnowanego przez ojców założycieli UE, a nieraz włącza zielone światło dla lewicowych eksperymentów społecznych.

A przecież solidarność europejska, której pragną Beck i Habermas, może być żywą wartością tylko wówczas, gdy będzie sięgać swoich źródeł. A te tkwią w chrześcijaństwie. Tyle że dziś żyjemy w epoce politycznych liliputów obsługujących marne mieszczańskie potrzeby, a nie takich władców jak Otton III, który próbował budować – niestety, bez powodzenia – chrześcijańskie europejskie imperium.

WYKORZYSTANO: RZECZYPOSPOLITA